



Masowe i długotrwałe protesty w Hiszpanii, trwające już od 15 maja 2011 r. większość polskojęzycznych mediów raczyła zauważyć z dużym opóźnieniem. Tylko do 20 maja odbyło się około 60 strajków, a tysiące młodych ludzi wyległy na centralny plac Madrytu Puerta del Sol, by protestować przeciwko drożyznie, korupcji i wysokiemu bezrobociu, które w Hiszpanii dotyka już ponad 40% z nich. Dla porównania w Polsce według danych Eurostatu ok. 24% absolwentów wyższych uczelni do 25 roku życia pozostaje na bezrobociu. Polska tym się jednak różni od Hiszpanii, że u nas bezrobocie rozładowuje się masową emigracją, bez której byłoby znacznie większe, a poza tym wielu z tych, którzy teoretycznie mogliby już pracować pozostaje jeszcze na studiach.

Dlaczego jednak protesty w Egipcie czy Tunezji, które relacjonowano z taką pieczołowitością, miałyby nas interesować bardziej niż problemy jednego z większych państw Unii Europejskiej, tak bardzo podobne do naszych? Te ostatnie pokazują, że tylko dobre zarządzanie państwem może być trwałym punktem wyjścia do dobrobytu gospodarczego, a jeśli tego zabraknie, nie pomoże ani Euro ani Unia Europejska, która nie będzie wечно do żadnego z państw dopłacać. Co najwyżej międzynarodowe instytucje finansowe zaoferują Hiszpanii na wzór Grecji "bratnią pomoc" w postaci kredytów, które z procentami będzie musiała spłacać.

Masowe protesty w Hiszpanii. Foto: The Vast Minority (www.vastminority.blogspot.com)

W przypadku Grecji odbywa się to już pod rygorystycznym warunkiem przyspieszonej prywatyzacji majątku narodowego, z której Grecja może znacznie mniej uzyskać niż mogłaby w normalnych warunkach wobec braku takiej przymusowej sprzedaży. Nie mówiąc już o tym, że sprzedać można tylko raz, a pozbywając się udziałów w spółkach państwo traci prawo do zysków z dywidendy za kolejne lata. Z kolei mniejsze wpływy z dywidend to mniej pieniędzy w budżecie, których nie można będzie bez końca uzupełniać wpływami z prywatyzacji, bo w końcu prywatyzować nie ma czego. Przed podobnymi dylematami stoi dziś nie tylko Hiszpania czy Grecja, ale również Polska, w której planowane wpływy z prywatyzacji za kolejne lata uległy wyraźnemu przyhamowaniu, bynajmniej nie dlatego, że rząd czy minister skarbu zaczął bronić się przed nadmierną prywatyzacją, lecz z tego prozaicznego powodu, że sprzedawać specjalnie nie będzie już czego.

Teraz nawet to, co zostało i co powinno pozostać w rękach Skarbu Państwa, jako głównego inwestora, rząd chce sprzedać - w Polsce sprzedano już nawet Giełdę Papierów Wartościowych! Tymczasem dobrze prosperujące państwowe koncerny energetyczne czy koncerny motoryzacyjne to żadna niespodzianka czy tym bardziej "relikt socjalizmu" w rozwiniętych państwach Zachodu. A jaką "prywatną" marką może pochwalić się Polska po 22 latach transformacji i prywatyzacji i którego Polaka było stać, aby przed dwudziestu laty kupić samemu za uczciwe pieniądze takie zakłady i jeszcze w nie inwestować?

Dlaczego więc nie prywatyzowano przede wszystkim na zasadzie akcjonariatu pracowniczego, kiedy to sami pracownicy stają się właścicielami (lub przynajmniej współwłaścicielami) swoich miejsc pracy? Taka forma prywatyzacji sprawdziła się np. za premiera Olszewskiego w przypadku Stoczni Szczecińskiej, która jako Porta Holding funkcjonowała z powodzeniem na tych zasadach aż do bezpodstawnej nacjonalizacji w 2002 roku. Tymczasem zamiast programu powszechnego uwłaszczenia stworzono Program Powszechnej Prywatyzacji w oparciu o Narodowe Fundusze Inwestycyjne, który okazał się niewypałem generującym straty dla budżetu, a uchwalona w 1996 r. ustawa o komercjalizacji i prywatyzacji przedsiębiorstw państwowych zagwarantowała jedynie 15% udziału akcjonariatu pracowniczego.

Za czasów premierostwa Jerzego Buzka prywatyzowano na całego, zwłaszcza banki. Prywatyzację rozumiano jednak w tak opaczny sposób, że 30% pakiet akcji Telekomunikacji Polskiej sprzedano państwowej firmie francuskiej, a 30% akcji PZU konsorcjum nie spełniającemu nawet kryterium inwestora branżowego. Proces byłego ministra Emila Wąsacza w tych sprawach przed Trybunałem Stanu nie może ruszyć od 2007 r., bo nie można wybrać posła sprawozdawcy, a jego były przełożony jest obecnie szefem Parlamentu Europejskiego i jemu tym bardziej nic nie grozi. Autor Programu Powszechnej Prywatyzacji Janusz Lewandowski - obecny komisarz ds. budżetu Unii Europejskiej - również nie ma sobie nic do zarzucenia.

W ostatnich latach program wyprzedaży Polski znalazł doktrynerskiego kontynuatora w osobie ministra skarbu Aleksandra Grada i przy wsparciu premiera Tuska nabiera właśnie ostatniego impetu, godzącego w strategiczne interesy państwa polskiego. Ewidentnie szkodliwe dla Skarbu Państwa są plany sprzedaży inwestorowi zagranicznemu pakietu większościowego 53% akcji grupy Lotos. Ma się to odbyć w sytuacji, gdy jest jeszcze za wcześnie, aby można mówić o zdyskontowaniu efektów wielkiego programu inwestycyjnego "10 +", zakończonego na przełomie 2010 i 2011 roku. Jak alarmował specjalista od bezpieczeństwa energetycznego Janusz Kowalski ("Obrona Lotosu polską racją stanu", *Gazeta Polska*, 1 grudnia 2010): "Realizacja programu inwestycyjnego, zwiększającego możliwości przerobu drugiej co do wielkości polskiej rafinerii z 6,0 do 10,5 mln ton rocznie, kosztowała około 3 mld USD. Dziś rząd Donalda Tuska zapowiada, że chce sprzedać w 2011 r. kontrolowany przez siebie pakiet gdańskiej rafinerii za około... 1,3 mld USD".

Taka sprzedaż, zwłaszcza w ręce rosyjskie, mogłaby mieć również fatalne konsekwencje dla bezpieczeństwa energetycznego i wzrostu cen paliw. Czyżby więc miała się powtórzyć sytuacja, jak za rządów Leszka Millera ze sprzedażą Polskich Hut Stali wraz z należącymi do nich koksowniami? W te zakłady państwo najpierw zainwestowało duże pieniądze, by następnie odsprzedać je po zaniżonej cenie i to w okresie światowej koniunktury na stal i koks. Po tej skandalicznej wyprzedaży wiodących w Europie zakładów oraz przymusowej likwidacji części hut w Polsce, na którą zgodzono się w traktacie akcesyjnym do Unii Europejskiej, narzucone nam ceny stali (bo przecież stal i tak musimy kupować!) poszybowały tak bardzo, że natychmiast odbiło się to np. na kondycji przemysłu stoczniowego. Podobnie późniejsza likwidacja stoczni, za rządów Donalda Tuska, wywołała problemy licznych kooperantów, m.in. zakładów Cegielskiego w Poznaniu.

Okazuje się jednak, że jesteśmy pozbawiani już nie tylko specjalistycznych gałęzi przemysłu, jak stocznie, huty czy cukrownie, ale nawet praw do własnych złóż naturalnych. Zgodnie z niedawno przyjętą ustawą geologiczną pierwszeństwo uzyskania koncesji na wydobycie gazu łupkowego będą miały firmy, które uzyskały koncesje na poszukiwania, a te jak wiadomo przypadły głównie koncernom amerykańskim. W takiej sytuacji już nawet ogłaszanie przetargów na wydobycie będzie tylko formalnością - z góry wiadomo, kto wygra. "Tymczasem już na poziomie wydawania koncesji widać, że interes ekonomiczny naszego kraju nie jest należycie uwzględniany. Opłaty na rzecz budżetu z racji wydobycia złóż, według przecieków prasowych, miałyby wynieść jedynie 1,5 proc., to najtaniej na świecie. Analogiczne opłaty na rzecz państwa w Wielkiej Brytanii czy Norwegii wynoszą 50-70 proc." - czytamy na stronie Instytutu Globalizacji (www.globalizacja.org).

Inną rażącą niegospodarność zasobami naturalnymi opisuje Adam Maksymowicz na przykładzie niedawnej sprzedaży kopalni Silesia ("Drzwi do KGHM", *Opcja na Prawo*, czerwiec 2011): "Po kupnie przez czeski kapitał wystąpił on do władz polskich o zmianę klasyfikacji ok. 85 milionów ton węgla - z kategorii bilansowych nieprzemysłowych (czyli nienadającej się do eksploatacji) na zasoby przemysłowe, przeznaczone do wybrania. Zostało to zaakceptowane przez Ministerstwo Środowiska. Okazało się, że podczas przetargu na kopalnię "zapomniano" o tych zasobach. W ten prosty sposób sprezentowano naszym sympatycznym południowym sąsiadom węgiel wartości około 10 miliardów dolarów".

Obejmując urząd premiera Donald Tusk podpisał się pod deklaracją, na której wśród 10 postulatów było m.in.: "Sprawimy, że Polacy z emigracji będą chcieli wracać do domu i inwestować w Polsce". Tymczasem na otwarcie rynku pracy w Niemczech nałożyły się drastyczne cięcia środków na kształcenie zawodowe i aktywizację bezrobotnych w naszym kraju. W wyniku tego, jeśli nic się nie zmieni, z programu płatnych staży organizowanych przez

Urzędy Pracy będzie w tym roku w stanie skorzystać tylko ok. 50 tys. osób wchodzących na rynek pracy, czyli pięciokrotnie mniej niż w roku ubiegłym. Rząd PO-PSL ograniczył również znacząco środki na zakładanie działalności gospodarczej. Jak możemy przeczytać w artykule Krzysztofa Ligęzy pt. "Kompot z trocin" (*Opcja na Prawo*, Nr 4/112, kwiecień 2011): "Dla przykładu: w ubiegłym roku z dotacji umożliwiających rozpoczęcie własnej działalności gospodarczej skorzystało ponad 50 tys. bezrobotnych. W tym roku skorzysta najwyżej 8 tys. Na refundację kosztów utworzenia nowych miejsc w 2010 roku mogło liczyć 70 tys. osób, a w roku bieżącym siedem razy mniej".

Nie tylko rola państwa w walce z bezrobociem, ale i struktura płac wymaga gruntownej naprawy w nie mniejszym stopniu niż w Hiszpanii. Polska według raportów OECD jest państwem o największym rozwarstwieniu płacowym w Unii Europejskiej: przeciętne zarobki netto 10% najłabiej zarabiających są aż 14 razy mniejsze niż średnia płaca 10% najlepiej opłacanych pracowników. Dla porównania na Węgrzech, czy nawet w mających opinię silnej gospodarki Niemczech, liczona w ten sam sposób różnica dochodów najlepiej i najłabiej opłacanych pracowników jest dwukrotnie mniejsza, a w Czechach, na Słowacji i w państwach skandynawskich jeszcze mniejsza. Tymczasem w politykach kolejnych rządów w Polsce zamiast niwelowania tych różnic widać trwałą tendencję do zwiększania dysproporcji płac.

Wprowadzona przez poprzedni rząd, a podtrzymana przez obecny obniżka podatku dochodowego pozwoliła zaoszczędzić pracownikowi zarabiającemu 1500 zł netto miesięcznie zaledwie 200 zł rocznie, podczas gdy zarabiający ponad 10 000 zł miesięcznie zyskał już 8200 zł rocznie, czyli kwotę 41 razy wyższą, mimo iż zarabiał tylko 6,7 raza więcej. Podobnie na obniżce składki rentowej za poprzedniego rządu najwięcej zyskali najbogatsi, co obecny rząd usiłuje częściowo zrekompensować, sięgając teraz przede wszystkim do portfela najbiedniejszych, podwyższając podatek VAT. Tymczasem już nawet na Wikipedii piszą, że VAT jako podatek pośredni obciąża najbardziej osoby niezamożne wydające największą część dochodu na artykuły pierwszej potrzeby i nieposiadające oszczędności!

Problemy te są szczególnie istotne z punktu widzenia pracujących w Polsce ludzi młodych, którzy z racji mniejszego stażu pracy mają zazwyczaj niższe pensje i trudności z kupnem własnego mieszkania. Jeśli do tego weźmie się pod uwagę, jak wiele osób pracuje na umowę zlecenie lub umowę na czas określony, to do tego dochodzą trudności z uzyskaniem kredytu mieszkaniowego. Tymczasem warto pamiętać, że to właśnie problemy mieszkaniowe były jedną z ważniejszych przyczyn, które wyprowadziły tysiące młodych Hiszpanów na ulice.

Trzeba też wzorem Węgier położyć większy nacisk na ściągalność podatku CIT i podatku od zysków kapitałowych od zagranicznych przedsiębiorstw, które nazbyt często korzystały z

dużych umorzeń podatkowych również w naszym kraju. Nie może być tak, że np. holding Eureka dostaje w 2010 roku umorzenie 19-procentowego podatku dochodowego od ponad 4-miliardowego zysku z dywidendy za lata 2006-2008, notabene zysku, który biorąc pod uwagę ustalenia komisji śledczej ds. afery PZU wcale mu się nie należał. Szerzej pisałem na ten temat w artykule "Komisja śledcza i co z tego?" (*Opcja na Prawo*, nr. 7-8/103-104, lipiec-sierpień 2010 r.).

Polska właśnie obejmuje po Węgrzech półroczną prezydencję w Unii Europejskiej i patrząc na reformy podjęte przez rząd Orbana moglibyśmy się od naszych bratanków wiele nauczyć. Na Węgrzech prawicowy premier nie wstydził się wprowadzić blisko 100% opodatkowania odpraw prezesów firm czy względnie niskiego podatku bankowego, który jednak tak nie uderza w społeczeństwo jak podwyżka podatku VAT. Jak się wydaje falę masowych protestów o podłożu nie tylko ekonomicznym (na Węgrzech protestowano także przeciwko kłamstwom rządu Gyurcsány'ego uprawiającego kreatywną księgowość) Węgrzy mają już za sobą, w odróżnieniu od Grecji czy Hiszpanii, do których sytuacji my coraz bardziej się zbliżamy.

Jak pisał Marek Langalis w artykule z 9 maja 2011 pt. ["10 obietnic Donalda Tuska"](#) : "Z powodu wyborów parlamentarnych oraz polskiej prezydencji w Unii Europejskiej minister finansów postanowił przygotować budżet na 2012 rok nie we wrześniu - jak to zwykle bywało - ale już w maju tego roku. Jest to o tyle zaskakujące, że jeszcze nie został rozliczony budżet za 2010 rok [...] Oto na 2010 rok deficyt miał wynieść ok. 52 miliardów złotych. Natomiast według Głównego Urzędu Statystycznego, deficyt sektora rządowego wyniósł ok. 84 miliardów, a więc o 32 miliardy więcej".

Tymczasem w Stanach Zjednoczonych kongresmeni wybierani w jednomandatowych okręgach wyborczych (JOW) reagując na naciski wyborców odrzucili zdecydowaną większością głosów forsowaną przez administrację Obamy podwyżkę limitu zadłużenia. Przeciw głosowała nawet znaczna część Demokratów i również w Partii Republikańskiej widać oddolne zmiany, co w Polsce byłoby nie do pomyślenia. Pisze o tym bloger [Nathanel](#) porównując to z sytuacją Polski:

W dość istotnym dla Obamy głosowaniu za było tylko 97 kolegów partyjnych pana Prezydenta. Przeciwko głosowało 236 Republikanów i 82 (tak, osiemdziesięciu dwóch Demokratów). Wbrew własnej partii, co w Polsce uznane by zostało za zdradę, za brak patriotyzmu, za wysługiwanie się służbom specjalnym, za wszelkie inne bezceństwa. Ale tu było 318 - 97. Wniosek rządu przepadł nie tylko zwykłą większością głosów. Przyszłe kompromisy "starych republikanów" będą musiały mieć akceptację grup konserwatywnej prawicy wspieranej przez Tea Party. Tu się w pełni ujawnia siła JOW [...]

Gospodarka na rozdrożach

Wpisany przez Krzysztof Kowalczyk

sobota, 18 czerwca 2011 10:23 - Poprawiony sobota, 18 czerwca 2011 10:36

Nasi spokojnie patrzą jak Polska tonie w długach, rosnących cenach, samowoli, korupcji, bezprawiu. Naszych interesuje tylko ilość ich totumfackich, którzy na ich rozkaz będą podnosić rękę i naciskać przycisk. Nasi grają z nami już 22 lata w tą samą (co cztery lata) grę.

Dlatego już najwyższy czas, aby pokolenie młodych Polaków i wszyscy ludzie dobrej woli zdali sobie sprawę, że nie wystarczy raz na 4 lata "dać głos" i wrzucić głos do urny. Sytuacja dojrzała już do tego, aby z nie mniejszą determinacją niż Hiszpanie upomnieć się o zmiany - w końcu "nasi", a tak naprawdę "oni" też na to zasługują! Udowodnili to niszcząc 750 000 podpisów obywateli ws. JOW i odmawiając nam referendum w tej sprawie. Pamiętajmy o tym, gdy w październiku znów będą prosić nas o głos, tłumacząc nam, że to nasz obywatelski obowiązek!

VI Marsz na Warszawę o Jednomandatowe Okręgi Wyborcze organizowany przez Ruch na rzecz JOW wyruszy 8 X 2011 r. Zapraszamy już dziś wszystkich, którzy rozumieją, że bez zmiany ordynacji wyborczej nie będzie gruntownej naprawy państwa. Więcej informacji o Marszu na stronie www.jow.pl.

Krzysztof Kowalczyk